



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmitta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Wczoraj przewrócił się karnawał, o którym w rocznikach zabaw warszawskich będą może kiedyś czytali ciekawe szczegóły, jako o nieboszczyku, co swój krótki żywot zaznaczył wyjątkową zapamiętałością; mieliśmy balów więcej, niż potrzeba, ale przeważnie publicznych, o prywatnych zebraniach jakoś dość było głucho.

„Ciężkie czasy“ na spraszanie gości, zatem wybrano środek oszczędniejszy podobno; zamiast otwierać własne salony, bywano na neutralnym gruncie, na publicznych balach, piknikach, maskaradach; tradycja zabaw w zamkniętym kółku, we własnym domu, przyjęcia „u siebie“, jak się to dawniej mówiło, została dla praktyczniejszych pono celów zaniechana.

Nie wiem, czy to wyjdzie na dobre, bo i życie towarzyskie ze swemi właściwościami ma swoje społeczno-moralne znaczenie, którego lekceważyć nie należy.

Jakiś Francuz, przerabiając aforyzm swego rodaka: „Powiedz mi, czym się żywisz, ja ci powiem, kim jesteś“ napisał: „Powiedz mi jak i z kim się bawisz, ja ci powiem, coś wart“.

Bawisz się za drogo, toś utracysz; bawisz się za często, toś hulaka; bawisz się dla pozorów, toś głupiec, a nie przebierasz kompanów, toś fufant.

Pomimo kręcka tanecznego w ostatki, Warszawa zdobyła się na przepięknie sali ratuszowej w Niedzielę na koncercie urządzonym przez Mierzińskiego ze szlachetnym celem wystawienia posągu Moniuszki w przebudowanym foyer Teatru Wielkiego. Pana Władysława nie darmo nazywają królem tenorów, ma on też swoją kró-

lewską hojność, z jaką szafuje nie tylko głosem, ale i kieszenią; wprowadził znakomity śpiewak nie z własnych funduszy ofiarował sumę z paru tysięcy rubli na uczczenie pamięci najcenniejszego kompozytora polskiego, ale wspaniałomyślnie wyrzekł się ich, bo gdyby był ten sam koncert chciał urządzić na własny dochód, byłby worek wypchał banknotami i mógł zarobić na przejeździe przez Warszawę całą tę sumę, która skamienieje teraz w marmurową postać naszego mistrza melodyi.

W ciągu jednego dnia rozchwymano, rozerwano wszystkie bilety i gdyby sala ratuszowa wraz z galeryami mogła być dwa razy tyle pomieścić słuchaczy, nie byłoby zbrakło kandydatów do miejsc.

Z Mierzińskim stanęli na estradzie lutniści: Barcewicz i Michałowski; z takimi wykonawcami każdy program musiał być zajmującym.

Przed dwoma laty inicjator ostatniego koncertu swoim udziałem znakomicie przyczynił się do zebrania funduszu na pomnik dla Królikowskiego, który dziś zdoła grobowiec znanego tragika na Powązkach.

Niechże teraz kto powie, że Mierziński nie śpiewa od serca i do serca!..

Spragniona wrażeń artystycznych Warszawa, z tą samą skwapliwością, z jaką pośpieszyła po bilety na koncert, rozebrała wszystkie trzy sery abonamentów na występy Modrzejewskiej. Gdyby ich było trzy razy po trzy, jeszczeby trudno było zadowolić wszystkich; do kasy dotoczył się nie dali, po kilka godzin wyczekiwały tłumy pod filarami Teatru, a mnóstwo zawiedzionych odejść musiało z pustymi rękoma.

W poniedziałek pani Modrzejewska wystąpiła w „Maryi Stuart“, jednej ze swoich najznamiętszych kreacji, które nie tak rychło wyjdą z pamięci publiczności naszej i z tradycji wielkiego repertoaru sceny, pozbawionego, z ubytkiem naj-

znakomitszych sił naszego dramatu, utworów w podniosłym stylu.

Czy i jakie zmiany czas wprowadził, nie w niepospolitym talencie, ale w czynnikach zewnętrznych artystki, która z ogólnoludzkiej względów, nie może być wiecznie młodą i świeżą, niechaj pisze specjalny krytyk „Bluszcza“. Ja zanotować muszę tylko pogłoski zakulisowe, jakoby gościna p. Modrzejewskiej na scenie warszawskiej miała się przedłużyć.

Wielki post tedy dostarczy nam szlachetniejszych wrażeń z dziedziny sztuki, najbardziej ulubionej przez publiczność naszą; będziemy chodzili do teatru — my, którzy no. posiadamy bilety — i trzy wieczory w tygodniu spędzimy pod urokiem wielkiego talentu i świetnej gry, jednej z najcenniejszych artystek współczesnych.

My zaś, którzy biletów nie posiadamy, będziemy się inaczej rozrywali; będziemy chodzili podziwiać pałac z lodu w Dolinie szwajcarskiej, mieniący się blaskami kolorowych świateł, które kryształowe jego ściany zabarwiają uroczo i dają złudzenie owych bajecznych siedzib jakiejś wróżki czy boginki.

Nad wzniesieniem tej budowy przez dwa tygodnie pracowało kilkudziesięciu robotników, korrzystając z mrozu, bez którego pałac lodowy nie mógłby powstać.

— Proszę pana, czy ten pałac jest wewnątrz ogrzewany? — spytała mnie naiwnie pewna panna, której opowiadałem o sprzętach z lodu, szklankach z lodu i świecy płonącej również z lodu, wykonanej misternie przez budowniczych kryształowego pałacu; — bo inaczej — dodała — musi tam być zimno, jak w lodowni. Człowiek może się zaziębić.

Mniej skrupułu pod tym względem mają artyści *sui generis*, którzy niebawem popisywać się będą w cyrku p. Truzzięgo na Ordynackim i przy dzisiejszej aurze zadziwiać nas chcą swoimi sztukami w... wodzie.

Klasyczne gusta i klasyczne i grzyska wracają w naszych czasach: arena cyrkowa zamienia się w małe jezioro, na którym popisywać się mają pływacy, nurkowie, stacząc będą wielkie bitwy, ukazywać trytony i nimfy, zupełnie jak za Nerona i Heliogabala w starej Rzymie.

Woda wprowadzie ma być ogrzewana, ale zawsze taka kąpiel w Lutym nie może być bardzo przyjemną i grozi co najmniej katarem.

I wszystko to dla marnego grosza!

Nie dziwiłbym się, gdyby nasza filantropia, która w wielkim poście zaczyna znów swoją publiczną działalność, korzystając z urządzenia areny cyrkowej na sensacyjne widowiska nautyczne, wpadła na pomysł zużytkowania dla siebie tej nowości; zobaczylibyśmy może żywe obrazy na wodzie, a między nimi „Bachusa i Ariadnę“, według oryginału Hansa Makarta, przed którym na wystawie Krywulta tłoczy się teraz mnóstwo ciekawych znawców i nieznawców.

Powodzenie byłoby zapewnione, a o role trytonów, unoszących z toni piękne nimfy, dobijałaby się cała złota młodzież za dopłatą.

Nie słyszałem wprowadzie dotychczas nie jeszcze o nowych projektach filantropijnych na post bieżący, z wyjątkiem zwykłego rautu na korzyść Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, który urządza p. Kazimierz Dobiecki; ale małe, a rozmaite komitety zaczęły sobie łamać głowę nad wymyśleniem jakiego nowego wabika dla publiczności, któryby ściągnął do tej lub owej sali najwięcej—filantropów, a do pustych skarboniek najwięcej grosza.

Powiadają, że o pieniądze zawsze jeszcze bardzo trudno w Warszawie i że z powodu tego braku tylko bale, koncerty i widowiska publiczne mogą się udawać, ale na poważniejsze przedsięwzięcia i cele ani marzyć o zebraniu większego kapitału.

Muszą też aż z zagranicy przyjeżdżać pomysłodawcy, aby tu na miejscu szukać zarobku i dochodów, bo najlepsze projekta rozbijają się, jak bańki mydlane o brak gotówki czy ryzyka w Warszawie. Przed kilku tygodniami toczyły się narady nad wprowadzeniem elektrycznego oświetlenia u nas; przedstawiano, obliczano, wykazywano jak na dłoni, iż urządzenie w śródmieściu stacy centralnej, któraby dostarczała strumieni elektryczności do prywatnych lokali, magazynów, restauracji i sklepów, musiałoby się bardzo dobrze opłacać, rywalizując z towarzystwem dessauskiem.

Cóż z tego! Słuchano, przeglądano rachunki i projekta, ale ostatecznie wzruszono z niedowierzaniem ramionami i pozostawiono tę sprawę do rozstrzygnięcia jakim Belgom lub Francuzom, mającym trochę więcej przedsiębiorczości i ryzyka.

Panowie cudzoziemcy też, nie zrażeni odrzuceniem projektu obulwarowania Powiśla od strony Solca, które podobno finansowo nie byłoby się miastu opłaciło przy stawianych warunkach, postanowili w innych przedsiębiorstwach szukać u nas szczęścia i zysków: oto podobno zamierzają utworzyć konsorcjum udziałowe, któreby nabyło place po zburzeniu Szpitala Dzieciątka Jezus.

Inna grupa kapitalistów chce założyć w Warszawie duży lombard akcyjny, dający pożyczki na możliwie niski procent, podobno na jeden od sta miesięcznie; jeszcze inna spółka uważa, że w Warszawie brak jest dużego, na europejską modłę urządzonego hotelu, i chce temu brakowi zaradzić.

Nie wiem, czy te wszystkie zamiary przyjdą do skutku, ale to dziwna, iż o robieniu interesów na naszym gruncie, o wyzyskiwaniu rozmaitych projektów myślą za nas cudzoziemcy i troszczą się więcej nami, aniżeli my sami, którzy na żadną inicjatywę zdobyć się nie możemy.

Przepraszam, tak bardzo znów źle nie jest; oto jeżeli dobrze pójdzie i nic nie stanie na przeszkodzie, będziemy mieli jeszcze tego lata kolej konną na Czerniaków do Wilanowa, i to z inicjatywy miejscowej i z funduszy miejscowych kapitalistów.

Pan inżynier Huss uzyskał koncesję na budowę takiej linii tramwajowej i tworzy spółkę udziałową z kapitałem 50,000 rs. na lat dwadzie-

ścia cztery; pojedynczy udział wynosić będzie rs. 100.

Pomimo bardzo nisko obliczonych kosztów, projektodawca obowiązuje się za cenę anszlagową zbudować kolej konną, którą zamierzali francuzcy przedsiębiorcy zaprowadzić i eksploatować. Jutro właśnie ma się odbyć drugie i stanowcze zebranie przyszłych uczestników spółki, na którym przyjdzie zapewne do podpisania umowy, a w takim razie z wiosną zaczęłyby się od razu roboty i od Maja moglibyśmy robić tramwajem wycieczki do Czerniakowa.

Przy innej sposobności mówiłem już obszerniej o tem, jak pod tym względem właśnie, Warszawa niekorzystnie jest urządzona w porównaniu z innymi wielkimi miastami zagranicą.

Mieszkaniec półmilionowego grodu nie ma możliwości odetchnąć w lecie świeżym powietrzem, nie może się wybrać na dalszą wycieczkę wiejską, bo to, albo połączone jest ze zbyt wielką stratą czasu, lub ze zbyt wielkimi kosztami.

Ta kolej konna wilanowska może być początkiem całej sieci innych linii w okolicy Warszawy, które w lecie ludność miejska będzie umykała z dusznych murów i rozpalonego bruku na odżywcze łono natury; rozumie się, że na tem łonie potrzeba będzie postarać się o jakieś środki wyżywienia, które się znajdują w odpowiednio urządzonych restauracjach, szwajcarych, zakładach gastronomicznych, i t. p. na wzór zagranicznych tego rodzaju zakładów.

Poza Łazienkami z Botaniką i Ogrodem Saksim Warszawa nima w swym obrębie większej oazy zieleni i świeższego powietrza; być może, iż wuuki nasze doczekają się nowego, wzorowo urządzonego parku, o którym marzy Towarzystwo ogrodnicze a w którym rosnąć będzie to pamiątkowe drzewo na cześć Józefa Spornego, jako hojnego zapisodawcy, który zostawił fundusz na założenie takiego ogrodu.

Zapis ten wystarczy może na koszt urządzenia, ale nie starczy na zakupno gruntu, zwłaszcza w obrębie miasta, zatem Towarzystwo ogrodnicze postanowiło starać się o otrzymanie gruntu darmo. Wyszukało już sobie miejsce odpowiednie na Koszykach, zajmujące obszar około siedmiu morgów, i na niem chce zasadzić wszelkie gatunki drzew ozdobnych, wypróbowanych w naszym klimacie, wysłać cieplarnie, dom administracyjny, założyć szkołki, i t. d. Chodzi tylko o to, aby magistrat zrobił z tego placu darowiznę Towarzystwu ogrodniczemu, za co ono obowiązuje się przysporzyć miastu nowy park i wedle możliwości dostarczać krzewów i drzewek dla plantacji miejskich i skwerów.

Zdrowotne, estetyczne i praktyczne względy przemawiają za tą ofiarą, na którą chyba magistrat się zgodzi w myśl szanownego prezydenta miasta, zmierzającego nieustannie do upiększania i ozdowienia Warszawy.

Nadzwyczajny wzrost jej zdaje się wzmagać z każdym niemal dziesiętkiem lat; dowodzą tego cyfry. Kiedy w roku 1816-ym w syrenim grodzie żyło tylko 81.000 mieszkańców, którzy stanowili 3½% ogólnej ludności Królestwa, przed dwoma laty liczba ta doszła do wysokości 445.777, co czyniło już 5½%.

W związku z tym napływem ludności do głównego ogniska kraju stoi kwestya rozwoju ekonomicznego i przemysłowego całej prowincyi. Na posiedzeniu sekcji rzemieślniczej w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu zastanawiano się obszernie i szczegółowo nad zwiększaniem się u nas proletaryatu robotniczego. Pan Alexander Makowiecki, jako przewodniczący, wykazywał szkodliwy wpływ maszyn na rzemiosła; dowodził, iż z rozwojem wielkiego przemysłu warsztaty drobne coraz bardziej upadają, rękodzielniczy przyzwyczajając się do automatycznej roboty maszynowej, tępieją umysłowo i zarzucają doskonalenie rzemiosła.

„Przy rozwoju stosunków ekonomicznych — mówił — nastać może czas, kiedy maszyny staną się taką bronią przeciw kapitałowi, jaką są teraz przeciw rękodzielnicztwu. Dzielnym środkiem zaradczym obecnie byłoby tworzenie spółek rękodzielniczych, któreby mogły swoim uczestnikom,

dzięki większemu kapitałowi składkowemu, zapewnić należyte wynagrodzenie siły roboczej“.

Zanim to nastąpi, faktem jest, iż z wielką maszyną może na razie rywalizować mniejsza, która ułatwia pracę i przyspiesza ją rzemieślnikowi, zmuszonemu tylko siłą własnych mięśni i zręcznością rąk własnych pracować.

W tym przedmiocie wytrawny ekonomista Dr. Antoni Donimirski, współredaktor „Słowa“, na tem samym zebraniu mówił o użytku motorów gazowych w rękodzielnicztwie. Za granicą szwaczki do obracania kółka swojej maszyny żywicieli używają motorów; u nas na taką pomoc zdobyć się nie łatwo, gdyż potrzebaby wpierw wykupić świadectwo 2-giej gildyi, na równi z właścicielem pracowni, który zatrudnia 16 ludzi.

Z tego powodu w Warszawie jest dotąd czynną zaledwie nie cała setka motorów gazowych o sile 450 koni; praca jednego konia normalnie oblicza się na pracę siedmiu ludzi.

Otóż, aby umozebnić rękodzielnicztwu drobniejszemu posługiwanie się motorami, potrzeba postarać się o zmianę istniejących przepisów, zaprowadzenie wyjątków od ustawy. Gdy wolno będzie bez wysokiej opłaty sprowadzić sobie do domu, czy do warsztatu motor gazowy o sile pół-konia, wówczas każdy trochę zamożniejszy rzemieślnik, niewątpliwie zechce z niego skorzystać, bo będzie miał ulgę w pracy i oszczędność w czasie. P. Donimirski proponował: 1) zmianę przepisów w tym względzie; 2) wystawę najtańszych i najpraktyczniejszych motorów, w celu obeznania z nimi klasy pracującej.

Mojem zdaniem, niekoniecznie potrzebaby posługiwać się gazem; widziałem w Berlinie i tu w Warszawie, w zastosowaniu wodne motory, tak małej konstrukcyi, że je w kieszeni od paltota schować-by można, a działające na niezbyt wielki wysiłek doskonale. Przy wodociągach naszych, dałyby się one zastosować łatwo i tanio.

Szwaczki, krawcy, szewcy, tokarze mogliby mieć z nich pożytek nie mały.

Na zakończenie dzisiejszej kroniki pochwalić się muszę, że nie tylko widziałem już Dygasińskiego po powrocie z za Oceanu, ale palłem oryginalne papierosy brazylijskie, któremi delegat „Kuryera Warszawskiego“ mnie poczęstował.

Podróż daleka posłużyła panu Adolfowi doskonale, wygląda zdrowo, nie znać na nim znużenia po przebytych trudach i mordercze na koniu, który go obnosił po koloniach brazylijskich całe dziesiątki mil, nie skarży się na burzę morską, jest ożywiony i w wybornym humorze, a gdyby tylko tak pisał, jak opowiada, przybyłoby mnóstwo bardzo zajmujących kronik, artykułów i powieści,—no, i przybędzie niezawodnie, skoro nasz podróżnik weźmie się do pióra, aby opisywać swoje wrażenia i obserwacje.

Rezultat ich był łatwy do przewidzenia; Dygasiński wrócił z tem przekonaniem, że chłop nasz musi zmarnieć w Brazylii bez ratunku, bo nie posiada najważniejszych warunków indywidualnych i kulturalnych do oparcia się temu, z czem jako świeży osadnik walczyć musi.

Sprawa emigracyi zyska tedy na nowem, faktycznym oświetleniu w artykułach Dygasińskiego, który miał przeróżne przygody w swojej podróży i podczas pobytu w Brazylii, a o których dowiecie się z „Kuryera Warszawskiego“.

*

*

*

Biorę jeszcze raz pióro do ręki, aby dopisać nekrolog człowieka i pisarza, którego zeszłego Poniedziałku ponieśliśmy na własnych barkach na Powązki; z uczuciem serdecznego żalu kładę krzyżyk przy nazwisku ś. p. *Wincentego Korotyńskiego*. Nazwisko to nieczęsto rzucało się w oczy na kartach ksiąg i dzienników, ale znane było dobrze w całym naszym świecie literackim, który przywykł był szanować w zmarłym pisarzu niepokalanej czystości języka, niepospolitego znawcę historii i literatury, człowieka gołębiej prostoty i zacnego charakteru, pracownika niezmordowanego od lat przeszło trzydziestu kilku na niwie naszego piśmiennictwa.

Stary Korotyński był typową osobistością, z fizioznomii zarówno, jak z obyczajów, z ducha i z języka, z tego, co cechowało literatów dawniejszej daty.

Dobry chrześcijanin przez wiarę, zachowawca przez miłość, pracownik gorliwy, przez nadzieję i obowiązki—W. Korotyński, cały żywot swój spędził pożytecznie; samouczek, który rozpoczął od przepisywania manuskryptów Władysława Syrokomli, a skończył na przepisywaniu poezyj, studyów literackich, tłómaczeniu z obcych języków, krytyce, i wszechstronnem współpracownictwie w prasie codziennej i tygodniowej z największym dla niej pożytkiem.

Wykształcił się sam i był jednym z najbardziej czytanych literatów polskich, który w XVI-ym zwłaszcza i w XVII-ym wieku był, jak u siebie, na swoim gruncie, posiadał istną skarbnicę wiedzy i wiadomości, dotyczących się rzeczy swojskich.

Przyjaźń z Syrokomlą, zacieśniona z latami wpłynęła korzystnie na niego, rozwinęła poetyczną naturę i wrodzone zdolności, pokierowała dobrą drogą, ale życie, obowiązki ojca licznej rodziny, warunki bytu, kazały mu pracować ciężko dużo, długo, wyczerpująco, na chleb powszedni. Przed laty dwudziestu pięciu przeniósł się z Wilna do Warszawy, wstąpił do redakcyi „Gazety Warszawskiej“ i tam prawie w roku zasłużonego jubileuszu, jako współredaktor i pisarz tego poważnego pisma, życie zakończył. W dawnym „Tygodniku powszechnym“, w „Kronice rodzinnej“ wreszcie w „Tygodniku ilustrowanym“ którego w ostatnich latach był również współredaktorem, pozostało dużo pięknej i pożytecznej pracy nieboszczyka.

Skromny i cichy, niewymagający, wiecznie zapracowany, odmawiający sobie wytchnienia i rozrywki, żył z poświęceniem dla swego pisarskiego zawodu, który uważał za swoje szlachectwo, za godność, jaką okupywać należy ciągłemi zaslugami.

Za trumną jego też szedł orszak, który był najcenniejszą strażą honorową dla zwłok tego towarzysza broni, pisarza wzorowego, bohatera samopomocy.

Długo miejsce po nim zostanie w szeregach naszych niezajętem, i przypominać go nam będzie nieustannie...

Andriolli poruszył na pogrzebie myśl ozdobienia grobu jego pomnikiem; były to objaw uznania zasłużonego przez cały żywot!...

Quis.

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

— Co tam u was za wojna? — spytał, poznawszy przyjaciela.

— Nic! Sacharko się z żoną poswarzył. Ty już zdrów?

— A już. Z nudy tom się omal nie zbiesił! Jutro, dzięki Bogu, do roboty pójdę.

— Dobrze ciebie dziewczyna twoja doglądała.

— To dziwo? Wesela się jej chce!

Olenia fartuchem zakryła oczy.

— A ty już sobie jaką napatrzył? — zagadnął Karpina.

— Nie będę ze swatami długo chodził. Do jednej chaty, taj zapijemy!

— Doprawdy! A kto?

— Jest taka!

— Nie chcesz mówić? To zobaczymy się na ręczniku przy ślubie, jesienią.

— Zobaczymy się! — odparł, a po apatycznej jego twarzy radosny uśmiech przebiegł.

— Nu, to zanieś jej jabłek odemnie!

— Daj mu, Oleniu, pełne zanadrze.

Były to papierówki owe, tak ciężko bronione krwią.

Kalenik, obdarowany, wrócił na swe podwórce i, chwilę poczekawszy, przez płot za stodołę się wy dostał.

Dawno już Łucysi nie widział i tęsknił już do niej.

Aż wtem — omal nie upadł na coś białego. Była to Tatiana w kłębek zwinięta pod ścianą.

— Co tobie? Idź do chaty! — rzekł.

— Nie pójdę. Ucieknę do ojca, jak trochę „oczumieję“. Całkiem zabił! — jęknęła.

— Porzuć! Albo to jeszcze tak będzie! Pierwszy raz, toś się przelekła, i, wiadomo, jeszcze nie zwyczajna! Potem to się przyzwyczaisz! Ot, głupstwo!

— Nie chcę takiego życia, nie chcę takiej doli! Ty widział jak ja robiła, ty widział jak się starała. Zato mi kości poprzetrącał, głowę pobiał, włosy wyrwał. Oj, Boże mój milenki! Boże!

Podniosła się na klęczki i, rękami pobite piersi cisnąc, łkała.

On nie wiedział, co rzeć, więc w zanadrze sięgnął. Żal mu jej było.

— Na, jabłko. Zjedz! kwaśne, dobre!

— Nie przelknę! Gardło mi całkiem zdusił, jak wilk. Nie żałowałam mu płótna i pierzyny, dogadzałam w strawie. Teraz inaczej będzie. Bije? Nu, to niech zią bije. Niech się wszystko marnuje!

— Porzuć, przywykniesz! — pocieszał po swemu. — Lubi on ciebie, a jak tam kiedy uderzy — to co? Każdy tak robi. Nato on mąż, a ty baba! Ot, idź do chaty.

— Moja dolo ciemna, moja dolo pohana! Na to ja dzieci hodować będę?! Boże mój, Boże!

W tem skrzypnęły drzwi chaty.

— Tatiano! Ho, Tatiano! — rozległ się głos Sacharka.

— Idź, skoro! — szepnął Kalenik — bo cię tu odszuka i żywej nie zostawi. Idź do niego, do komory, taj milcz!

— Tatiano! — głośniejszy powtórzył Sacharko.

Kobieta się zwlekła.

— Idę! — odpowiedziała zachrypnięta.

I poszła, stękając, ale już cicha i zrezygnowana, a Kalenik poza stodołami pomknął do Makuśzanek chatyny.

Osądzono wreszcie Kiryka i uwolniono.

Uratowały go lata niepełne i rany od zębów Służki. Bronił się zatem od psa i przez nieuwagę, ze strachu, uderzył Karpinę.

Za swawolę kazano mu w gminie wyliczyć piętnaście różg.

Hubenie tryumfowali tedy i sam winowajca drwił z Huców, gdzie tylko ich spotkał; obiecywał lepiej się sprawić za drugim razem, chwalił się ze swego bohaterstwa i sprytu.

Stary Kornilo, poznawszy wyrok, nie nie rzekł przy ludziach, tylko wieczorem w chacie do synów się ozwał:

— Nie złóście. Wiadomo kto winien, Bogu, i panu, to i dosyć. Chwalba ich — złodziejska a nasza przegrana, — prawych ludzi przegrana! Tak i będzie po koniec świata!

— Ja-bym nie chciał Kirykiem być! — rzekł Karpina ze wzgardą.

— Rozumno wy rzekli, bat'ku! — potwierdzili po namyśle starsi synowie.

Wieczerali właśnie przy długim stole, oświetleni resztką blasku z ulicy.

Matwieja Marya ustawiła przed nimi misy kwaśnego mleka i smażonych kartofli; kroili sobie z jednego bochna grube zrazy chleba i jedli powoli.

Zgoda, spokój i zadowolenie uczciwe panowały w tej chacie białej i obszernej; nawet dziatwa malutka zachowywała się przystojnie, nawet psy leżały spokojnie, wyczekując swej kolei.

Kornilo siedział u góry stołu pod obrazami świętych; naprzeciw niego w drugim końcu Przytulanka.

Rozmawiali o robocie odbytej i o jutrzejszej na dworskim łanie, a mówili o tej ziemi wszyscy „nasza“ — i cieszyli się dobrą pogodą do zniw.

Kornilo milczał i do siebie się uśmiechał.

— Coś wesołego dumacie, bat'ku? — zagadnął go Karpina.

— Ale, dumam ja sobie jedną gadkę o złodzieju, co mi ją starzec kiedyś bajął.

Przyszedł on starzec do stodoły, a pszenicy leżała kupa złota na toku.

Patrzy on na nią, a ja powiadam:

Pachnie wam ta pszenica, ino nie ruszcie.

A on sobie pośmiechuje i rzece:

Nie chcę ja Bogu śmierdzić, ni świętym, i tak mi opowiada:

Poszedł jeden kraś do stodoły, ukradł i powiada sobie: że się mnie udało, to zato zrobię ofiarę świętemu Nikole. Kiedy tak myśli, aliści oczami za siebie rzucił, aż tu go człowiek goni.

On „w ucieki“ — tamten za nim.

Biegają tak i biegają, w złodzieju dech zaparło, precz worek rzucił, bo widzi, że pojmą, więc choć siebie ratuje.

Poty na niego biją, mdleją nogi, a co spojrzy za się, tamten biegnie.

Aż tu widzi: leży przy drodze koń padły, napół ognily, cuchnący.

Z tej desperacyi, że nie umknie, on na myśl bierze i schował się pod zebra tej wywłoki i siedzi w zaduchu, w swędzie z robactwem.

Aż mdleje z obrzydzenia, ale trwa ze strachu.

Przesiedział godzinę, omal nie umarł, wreszcie wypelzył na świat.

Patrzy, droga pusta. Idzie tedy, plując, aż spotyka człowieka. Idą w podłe, poczynają gadać.

— Ot zazałem biedy, — powiada, złodziej gonił mnie jakiś, uciekałem, taj w tę zdechłą szkapę się schowałem od niego. Omal mnie ta zła woń nie zabiła! Tfu!

A tamten staje i mówi:

— Jak tobie woniała ta szkapa, tak mnie woniała twoja ofiaral

I jak to rzekł, tak wnet się z wiatrem rozwiął, i już go nie stało na drodze.

I poznał złodziej, że to ten był, co go ściagał — święty Mikołaj! Ot jak!

Słuchali wszyscy uważnie, i nikt za bajkę nie wziął.

— Dobrze jemu tak — rzekł Karpina.

— Może to być! — dodał Matwiej. — Niechaj, szelma, świętych nie zaczepial

Człowiekowi do nieba wysoko i ciężko, a świętemu co? — Zeskoczy na ziemię i jest!

Skończyli jeść i, przeżegnawszy się, do ojca zwrócili.

— Dziękujemy, bat'ku — Bogi i wam za strawę, taj za odpoczynek rzekli razem wszyscy:

— Na zdrowie wam, dzieci, na moc, taj wszelakie dobro! — odparł stary.

Rozchodzili się już. Kobiety po zielsko dla wieprzaków, mężczyźni do dworu na warty, na objazdy nocne; dzieci układano do snu. Stary jeden zostawał w chacie i kommenderował, lulkę ćmiąc.

— Bat'ku! — ozwała się Marya, sprząając statki u pieca — mogłabym ja jutro zniwo opuścić?

— Nie, albo co?

— W lnie „czyrówkę“ chciałabym zniszczyć.

— A nacoś ją nahodowała! Teraz nie pora. Lnu nie uratujesz, a i dzień stracisz, i krzywdę panu zrobisz! — Po dożynkach to cię uwolnię.

Matwiej na rosę postoił ozuwał i do rozmowy się wtrącił.

— Albo to ona dożynków się doczeka! Jeszcze nam pierwszej chrzciny sprawi. Kobieta zapłoniła się i umilkła, a stary się uśmiechnął wesoło.

— Kiedy tak, to jej do zniwa szkoda. Zostań się, Maryo, w chacie!

— Nie, bat'ku, nie! Pójdę! — zaprzeczyła.

— On to niepotrzebnie się troska! — dodała, na męża wskazując.

Matwiej ubrał się już i fajkę zagasił. Spojrzał na żonę ze śmiechem, objął ją ramieniem i po twarzy pieszczotliwie pogłaskał.

— A bacz, żeby mi chłopiec był, bo dziewczyn dwie to dosyć! — rzekł.

Kobieta zaśmiała się do niego ślicznie białemi zębami.

— Chłopca ci się chce, a kołyskę czyś upłótl? — odparła.

— Jutro wieczorem uplotę!
— Pamiętaj, bo będziesz musiał na rękę kołysać!

— Ojoj- będę! Byleś za mnie móg wyorała. Rozstali się, wesoło żartując.

Marya zmyła statki, zajrzała do dzieci śpiących, uślała pościel teściowi, obrała kartofli na jutrzejsze śniadanie; krzątała się żwawo, a wreszcie do sieni wyszła i poczęła w żarnach jęczmień na kaszę rozdzierać.

Łoskot kamieni uśpił starego Kornię. Wnet też wróciły kobiety zieliskiem obładowane i Prytulanka odpędziła Maryą od żaren.

— Boga się bój! — wołała. Czy to nas mało zdrowych, żebyś ty życie ważyła!

Idź spać, mówię ci - mnie starą sen nie bierze, to tę kaszę utrę!

— Dziękuję, ciotko.

— Idź, idź! — powtarzały bratowe. — Trzeba ciebie szkodować, bo sama to nijakiej uwagi nie masz!

I tak ją zagnały do komory i długo w noc monotony stuk żaren jeszcze się rozlegał. I tak stara Prytulanka płaciła uczciwie swym dobrodziejom. Nazajutrz Matwiej, pamiętny obietnicy, pęk rokity wyciął w rowie i na między położył, a potem orał dzień cały, dość daleko, cd reszty kolegów.

Obiad swój w dwojczkach zastał gotów w kuchni. Kobiety wszystkie zęły. Syn spodziewany mniej go zajmował i całe o nim zapomniał.

Rolę spiekły upały, baki kaleczyły konie, pług mu się rozstroił. Biadał parobek długi dzień na skwarze.

Pod wieczór się miało, gdy ujrzał od żytniego łanu ściankę polową — idącą kobietę.

Poznał swoją Maryą i nie zdziwił się, gdyż zwykle wracała do domu pierwszą, by krowy podoić i zwarzyć wiecezrę.

Spójrz! raz i drugi na nią ilekroć z pługiem zwracał. Szła bo nie po-swojemu, powoli, więc jej w myśli pożałował.

— Ciężko jej, biednej! — Boh me, już od jutra zakazę zniwa!

Tymczasem Marya podeszła bliżej i na miedzę ku niemu się zwróciła. Siermięgę miała rozpiętą i coś trzymała w pole jedną ręką, a w drugiej sierp niosła.

Zatrzymał konie i parę kroków ku niej uczynił.

— Co ty niesiesz? Broń Boże co ukradła? — spytał niespokojnie.

Kobieta stanęła przed nim i, uśmiechając się blademi ustami i licem, na którym jeszcze smugi błu zostały — odchyliła rąbek grubej świty u piersi.

— W Imię Ojca i Syna! — przeżegnał się chłop, a to zkad?

— Chłopiec dla ciebie, jakieś chcia! — odparła łagodnie, podczas gdy oczy łzami jej nabiegały z radości, czy osłabienia.

— Matko święta! — wymówił, zapatrzony wciąż w tę połę zawiniętą i oszołomiony. Zkad, kiedy, jak? Dawno się urodził!

— Przed południem. Zaczęłam żać i zaraz przestałam. Wstyd mi było wracać, przed tylu ludźmi, więc w zboże się skryłam. Bóg chłopaka dał, spoczęłam — taj do ciebie przyniosłam. Cóż stoisz? — ta przeżegnaj i pocałuj małego! Co ty za ojciec taki głupi!

Matwiej oprzytomniał. Krzyż ręką naznaczył i, otarłszy z potu twarz i odkrywszy głowę, pocałował maleństwo.

Kobieta usiadła na miedzy.

— Spoczne trochę przy tobie! — rzekła. Daleko iść, od zboża.

— Zaprzegnę konie do wozu duchem i przyjadę po ciebie. Poczekaj! — zawołał.

— Czyś oszalał? Żeby ludzie ośmieli, że mnie z pola mąż woz! Tyle szłam, to i resztę drogi zrobię. Albo to on ciężki! Tyle co kociak!

Matwiej już czapki nie włożył i stoją nad nią, uśmiechał się radośnie.

Ona dyszała, zmęczona.

— Żebyś ty lepiej po Przytulankę skoczył — rzekła, — bo ja wam wiecezry dzisiaj nie wypieszę zgotować. Narobiłam im mitręgi — moją część muszą dożyć!

Mój sokoliku, już ja pójdę, ale ty mi Prytulankę sprowadź!

— Ot, jadę! Powoli idź! Nie morduj się. Prędko konie odprzągl, siadł oklep i do dworu ruszył.

Kobieta poszła ku wsi, drobnie swoją od much i zachodniego blasku osłaniając. A chłopak ten Huców — zrodzony na dworskim łanie, ścieżką dziada i ojca szedł do chaty na rękach matki i rozwierał duże, sine oczęta jakby zdziwiony, że pierwszym posłaniem były mu kłosa, pierwszym obrazem takie duże pola nie chłopskie.

Tenci trafi do dworu tenci najemnikiem wrogim nie będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Na wodach Morza Śródziemnego.

Na wiosnę 1884 r. niezwykle ruch zapanował w zoologicznej stacji Neapolu. Nietylko poważni mężowie nauki i studenci uniwersytetu, ale rybacy i majtkowie statków, stojących na kotwicy w zatoce, cisnęli się tłumnie z powodu wieści, że oglądać tam można — żywe koralce! Rybak z pobliskich wybrzeży przywiózł na sprzedaż drzewko i kilka gałęzi koralowych, już martwych i obeschłych, ale konserwator stacji, Salvatore lo Bianca, poznał, że przed kilku godzinami polipy te żyły jeszcze. Zapłacono za nie rybakowi drożej, niż się mógł spodziewać, i Salvatore kazał mu wieść się do miejsca, zkad drzewko wydobyl — do ławicy koralowej na wpół drogi od Capri i dał potrzebne wskazówki, oraz naczynia, w których-by drzewka, przeznaczone dla stacji mogły być dostawione w wodzie morskiej i w stanie żywym. Wkrótce też można tam było oglądać zanurzone w wodzie akwaria szklane z żyjącymi koralami, w których śnieżnobiałe, do kwiatów podobne polipy wyciągały się swobodnie.

Gdy wieść o tem rozniosła się po Neapolu i okolicy, mnóstwo ciekawych śpieszyło, aby oglądać te cuda wód morskich: małe, pięknie czerwonego koloru drzewka szlachetnego koralu, których gałęzi i gałazki ukazywały ładne, kształtu gwiazdy kwiaty, lub ich pączki, otwierające się, lub zamykające powoli. Widok był ciekawy, zwłaszcza dla cudzoziemców, dla podróżników; zajmowała się nim przecież i ludność miejscowa, gdyż koral szlachetny (1) jest czysto miejscowym płodem natury tych wybrzeży i ich bogactwem. Połów tych koralu przedstawia dla wschodnich wybrzeży Śródziemnego Morza coś podobnego do odkopalisk, czynionych w miejscowościach, gdzie trzęsienia ziemi kazały siedzibom ludzkim zniknąć z jej powierzchni lub ukryły je pod popiołami wulkanów, jak Herkulanum i Pompeje. I tu poszukiwania są niemniej pracowite w głębiach podwodnych grot, w rozpadlinach skał podmorskich czynione, a przedstawiają one oczom ludzkim takie fantastyczne przedmioty widzenia, że nurkowie, oddający się temu rzemiosłu, stają się ogólnie marzycielami — wierzą w sny, w duchy złe, lub dobre, które zwodzą ich złośliwie, lub pomagają tym, którzy umięją sobie pozyskać ich łaskę. Wytworzyło się mnóstwo legend, baśni poetycznych i otoczyło całe to zyskowne, choć niełatwe zajęcie nimbem czarodziejskiego światła.

Obecnie połów koralu, którym oddawała się niegdyś Hiszpania, Portugalia i ludność południowych wybrzeży Francji, przeszedł całkowicie w ręce Włochów, zwłaszcza Neapolitańczyków, mieszkańców Torre del Greco w okolicach Neapolu, którzy uczynili sobie z niego główną

pracę życia. Nawet na wodach, należących do innych narodów, jak naprzykład u wybrzeży algierskich, lub tunetańskich, Włochy — rybacy włoscy, oddają się niemal wyłącznie, temu zajęciu, a wśród nich szczególnie mieszkańcy Torre del Greco, którzy uprawiają to jako rzemiosło, przechodzące spadkowo z ojca na syna, wraz z sekretami, które są owocem doświadczenia trzymanego w tajemnicy i przekazywanego synom i wnukom, jak majątek realny.

Podróżnik i przyrodnik niemiecki, Karol Vogt, puścił się na oglądanie ławic koralowych w towarzystwie wspomnianego wyżej konserwatora stacji zoologicznej w Neapolu na statku, należącym do stacji, na odkrytej łodzi nazwy: „Balfour“. Zwrócono się w kierunku Capri, gdzie po godzinie żeglugi przybyto i spotkano tam dwie koraliny, to jest łodzi służące do połowu koralu. Spodziewano się pomyślnego rezultatu pracy; jakkolwiek fale były wysoko, przecież rybacy nie tracili dobrej myśli, zwłaszcza, że Salvatore dał im dwa liry na szczęście, dodając każdej łodzi trzeciego na rachunek spodziewanych okazów połowu. Wytłomaczył przytem towarzyszowi wyprawy, że ci ludzie, a było ich na dwóch łodziach, dziesięciu, nie zarobią więcej przez dwa a nawet trzy dni pracy.

Osady owych dwóch koralin tworzyły spółkę. Nikt nie bywa tu nigdy przedsiębiorcą głównym, zysk otrzymany dzieli się też równo między członków wyprawy i pod względem takiego urządzania zbiorowych przedsięwzięć Włochy stoją wyżej od wszystkich innych narodów, można też powiedzieć, i nie w tym jednym wypadku, że owoce to są starej cywilizacji, która przesiąkała w lud ten przez wieki. Zebranie sobie jakiegoś grosza: *fortuny* — co trzeba tłomaczyć przez kilka, kilkanaście sztuk brzęczącej monety — jest tu tak zagnieżdżone w umysłach pod rubryką koniecznych potrzeb życiowych, że należy je uważać za objaw ogólny. Posiadać jakieś mienie — większe, mniejsze, przedstawia się Włochowi jako coś koniecznego, bez czego obejść się nie można a jest to wielką dźwignią w życiu klas pracujących posiadanie takiego zapasu, bo jakkolwiek byłby skromnym, stać się on może w pewnych momentach życia i niejednokrotnie ratunkiem. Z Torre del Greco wypływa rocznie na morze 300 koralin, które przebywają na morzu przecięciowo miesiąc siedm: od początku Marca do końca Października. Załoga składa się zwykle z dziesięciu ludzi, naczelnego kierownika, *padrone*, i chłopca do pomocy w drobnych robotach. Przez cały ten czas prawie nie wysiadają ludzie ci z łodzi, zaopatrzonej w zapas żywności wspólkowej, która bywa zwykle wzięta na kredyt a za którą wypłata następuje dopiero za powrotem na ląd, naturalnie, że ze znacznym procentem. Woda słodka i obwarzanki stanowią podstawę, dalej idzie oliwa, makaron, groch, mięso solone; ser i wino na dni świąteczne. Zwykle kosztą tej żywności przez czas siedmiu miesięcy, więc przez 210 dni, wynoszą około 1.650 lirów, a znaczy to na osobę dwadzieścia trzy i pół lira na miesiąc, więc nie całe 80 centymów dziennie. Salvatore lo Bianco, który raz przez miesiąc cały dla badań nad koralami na takiej koralinie przebywał i przyjął zupełnie rodzaj życia załogi, przyznał potem, że gdyby nie był miał nieco własnych zapasów: czekolady, wina i salami, oraz kosza pomarańcz, byłby może śmiertelnie z sił opadł. Ci biedni ludzie przecież, których to jest rzemiosłem, żyją tak nie jeden miesiąc i wytrzymują — wytrzymują stan taki przed siedm, miesiący naj rok, grając jakoby w loteryę ze szczęściem i marząc o bogactwach, o których cudownem zdobyciu krąży między ludem neapolitańskich wybrzeży tyle bajek, co ich jest gdzieindziej o zaklętych królewach i o zaklętych, przez dyabła (Rokite, Borute) pilnowanych skarbach.

Najuciężliwsza, bo nieustająca tu praca, przy której ludzie czuwać muszą dzień i noc, jest wtedy, gdy sieć specjalnego rodzaju: „Ingegno“ zostaje w morze spuszczone. Gdy przyjdzie czas, że wyciągać ją trzeba, cała załoga, nie wyjmując samego *padrone*, ciężko namęczyć się musi, bo nie jest ona bynajmniej ze zwykłego sieciom mate-

(1) Koral pospolity ma pień tak porowaty, że wskutek tego nie nadaje się do żadnego obrobienia.

ryału, ale z mocnych dwóch belek drewnianych, na krzyż ze sobą zbitych. „Ingegno“ większych rozmiarów miewa po cztery metry długości, mierząc od środkowego punktu ku brzegom; w owym środku mieści się balast z kamienia, lub kuli żelaznej takiej wagi, aby przyrząd ten spuścił się do pożądanej głębi. U rozkrzyżowanych jego ramion wiąże się i puszcza swobodnie mnóstwo sznurów i kawały starych sieci na kilka metrów długie. Gdy „Ingegno“ zapuści się na żadaną głębokość, owe sieci, owe sznury rozwijają się przez ruch fal i miotane niemi dostają się między rafy podwodne, dostają się do wnętrza jaskiń, wyłobionych tam przez wodę między rozpadliny i czepiają się znajdujących się tam koralu, owijają koło nich. Gdy wiatr jest niewielki i fale spokojne, „Ingegno“ zostaje po pewnym czasie nieco w tył cofnięte, a potem również powoli, holuje się je ku górze, a to z celem, aby koralu opłątane i ujęte przez w sieci, zostały od skał odszczepione i uniesione przez „Ingegno“. Czasem przecież krzaki koralowe tak się mocno skał trzymają, że sznury i sieci, oderwać ich nie mogą, zostają same ubezwładnione i wtedy trzeba im przyjąć z pomocą. — Tortolo w wodę! — kommanderuje „padrone“ a jest to żelazny pierścień, ważący sto kilogramów, czyli dwieście funtów, trzymany na pogotowiu, a który zostaje teraz siłą wszystkich rąk tak gwałtownie w morze zepchniętym, aby spadając podwodne owe skały u których „Ingegno“ uwięzionym zostało, zgruchotał. Trzeba! przecież kilku godzin czasu, aby winda, łącząca Tortolo ze statkiem, wydzwigała je i przy bohaterских wysiłkach całej załogi na pokładzie złożyła.

Bajeczną jest ilość żyłatek i roślin morskich, które wraz z odłamek skały dostają się teraz na statek. Muszle, skorupiaki najrozmaitsze: ślimaki, raki morskie, kraby, gąbki, polipy, porosty różne, ryby nawet wiszą, w sieciach, trzymają się „Ingegno“ w ujęciu lin i sznurków. Ale nie ma tu badaczów flory, fauny podmorskiej, to też wszystko, prócz tego, co jest jadalnym, obojętnie w wodę się rzuca i oczy upatrują jedynie czegoś, co jest czerwone, a wtedy z najwyższą troskliwością wydobywa się przedmiot dostrzegany, przy czem nieraz nóż rozcina dla ostróżności liny i sieci. Zdarzają się szczególnie wypadki, że krzew koralowy na pojedynczym głazie się trzyma i wtedy jest to okaz dla przyrodnika najciekawszy. Im dłuższy i grubszy jest pień, tym droższym jest on w handlu, bo przedstawia możliwość wyrobu większych i kunsztowniejszych przedmiotów, ale dla badań naukowych gałęzie są szacowniejsze, bo tam to żyje właściwie i rośnie koral, tam w korze znajdują się komórki, zamieszkiwane przez młode polipy, których życie zjednoczone jest przecież z piem, przez odpowiednie kanały. Można jednak roztropnie jedno z drugim pogodzić i kto weźmie się tu umiejętnie do rzeczy, potrafi koszta wyprawy z celem naukowym pokryć zyskiem, ze sprzedaży tych części koralu, które naukowo nie przedstawiają już teraz nowości żadnej. Salvatore odkrył po długich próbach sposób, aby drzewka koralowe, świeżo oderwane od rodzinnego miejsca, utrzymały się tak po akwaryach, w odpowiednio przyrządzonym płynie, jak gdyby żyły jeszcze, i stanowić to może ciekawą i niepospolitą ozdobę domowych gabinetów przyrodniczych, a nawet salonnów, rozpowszechniając wiadomości pewne o życiu koralu.

Kształt drzewka koralowego nie przedstawia się wdzięcznie. Gałęzie są w rozmaity sposób powygiwane, końce ich zakończają się jak gdyby szponami, a powierzchnia kory pokryta bywa chropowatymi naroślami, z których przecież ukazują się polipy, przedstawiające jakby piękne, w pół przezroczyście kielichy kwiatowe, śnieżnobiałej barwy. Z każdej narośli wygląda taki kielich o ośmiu płatkach, cienko, delikatnie zakończonych. Dopóki polipy te żyją, można przez lupę dostrzegać ruchy pojedynczych płatków kielicha, a nawet ruch całego polipa, przyciągającego ku sobie te odrośle, u których w środku kwiatowego kielicha znajduje się gęba. Można dostrzedz jak odrośl w siebie wciąga szyję, która kończy się ową gębą o ośmiu wargach.

Pień, gałęzie i gałązki składają się z dwóch części: grubej powłoki zwierzchniej, która jest żyjącą, i wewnętrznej twardej miazgi--substancji wapiennej, która jedynie na wyroby przemysłu użyta być może, a która bywa zwykle żywo czerwona, różowa, rzadziej żółta, a bardzo rzadko czarniawa. Obecnie w wyrobach zwłaszcza kunsztowniejszych, barwa różowa stała się więcej cenioną i podnosi cenę wyrobu. Gdy dla obróbienia pnia lub gałęzi, obnaża się je z kory, dostrzega się liczne, przenikające ją wskroś jakoby igły, utworzone z materii wapiennej, służące jako komórki i kanały, które idą w głąb, sięgając do wnętrza zbiorowego organizmu, i za pomocą których drzewko całe czerpie pożywienie.

— Drzewko koralowe—pisze Vogt—przedstawia najdoskonalszy obraz stowarzyszenia gminnego. Wszystkie pojedyncze osobistości są tu połączone ze sobą w ten sposób przez rurki i naczynia odpowiednie, że to, co gęba jedna pochwyti, dostaje się jako pożywienie organizmowi całości, ponieważ kanały przewodowe dostarczają je żołądkowi ogólnemu, prowadząc je tam z każdego pojedynczego żołądka, co Vogt opisuje szczegółowo. Są też gałęzie płci odmienniej; częściej przecież podział ten przedstawia się drzewkami, a jak u roślin powietrze, tak tu woda roznosi nasiona. Salvatore lo Bianco podpatrzył do głębi przez wieloletnie obserwacje proces tworzenia się tu życia, ale jak długo trwa—jak długo żyje koral szlachetny? nikt nie wie. Zdaje się że tak tu, jak do bujności rozrostu, przyczynia się pożywienie, jakie polipy te znaleźć mogą wogóle przecież twierdzić można, na zasadzie porównywania dawno znanych okazów, że koral szlachetny rośnie bardzo powoli, koralu barwy czarnej, to koralu umarłe.

Półow koralu ma ekonomicznie wielkie dla Włoch znaczenie i oprócz ludności z Torre del Greco, zajmują się tem przemysłem mieszkańcy Sardynii, Toskanii i Sycylii. Najdrożej się szacują koralu poławiające się w Afryce między Algierem i Tunisiem, i tych kilogram w stanie surowym, tak jak z morza wychodzą, płaci się po 65 lirów, koralu wód włoskich cenią się z wybrzeży sardyńskich 50, z Korsyki 45 lirów.

W 1869 r. rybacy z Torre del Greco, wyłowili na brzegach afrykańskich koralu w cenie 975.000 lirów, wybrzeża sardyńskie dały ich za 1.425.000 lirów, korsykańskie 475.500 lir., razem więc blisko trzy miliony; półow ogólny rybaków włoskich przedstawiał pięć milionów kilo, więc dziesięć milionów funtów wyłowionych koralu. W 1875 r. odkryto na wodach południowej Sycylii, między jej wybrzeżem i wulkaniczną wysepką Pantellaria bogatą ławicę koralową, w 1878 drugą, w 1880 r. trzecią i pracowało tu 582 koralin, z załogą 5.766 ludzi, którzy od Marca do Października wydobyli 19,120 centnarów koralu w wartości pół pięta miliona lirów; wkrótce przecież nastąpiło wyczerpanie. Było to w pobliżu miejscowości, gdzie w Lipcu 1831 wybuch podmorskiego wulkanu, wypchnął na powierzchnię wysepkę, która otrzymała nazwę Julia, potem Ferdynanda. Wybuchy trwały tu blisko miesiąc; mnóstwo ryb zabitych wyrzuciła woda na brzegi okoliczne; gdy przecież podziemne moce uspokoiły się, nowa wyspa zaczęła zapadać się znowu, zanurzać się w wodę tak, że na 80 metrów nad morze wystająca w końcu Listopada już zrównała się z powierzchnią wody, a w końcu Grudnia znalazła się, według rachub marynarzy, na dwadzieścia cztery węzły pod wodą. Obecnie koraliny wylawiają tu koralu z morza na 150 węzłów głęboko, zabite niewątpliwie w czasie owej tragedii natury i na dno morskie opadłe, gdzie leżały martwe, bo panuje ogólne przekonanie, że obecnie już nowe ławy koralu nie tworzą się wcale; a nawet dawne ubożeją coraz bardziej. Wokolicach sardyńskiego miasteczka Alghero, sławnego dawniej z bogactwa swoich ław koralowych, półow ustał niemal zupełnie od 1836 r. i brak koralowych krzewów na dnie wód włoskich zaczyna wróżyć, że produkt ten może zniknąć zupełnie wskutek chciwej i nieopatrznej gospodarki dzisiejszych pokoleń. Ziemia ubożeje; człowiek rozchwytuje skarby, którym przeszłość pozwoliła się wytworzyć, i każde z jego pokoleń

znajduje swój dział podamowego spadku mniejszym. Syreny ze swoim śpiewem czarownym ujdą też głębiej daleko, gdy nie starczy im w końcu grót koralowych, ale wierzyć trzeba, że człowiek zbuduje zawsze dla widzeń poezji swojej jakieś siedlisko i bęłą zawsze dźbiać się na ziemi i niebie cula, w które on wierzyć nie przestanie i których poszukiwać będzie namiętnie wśród otaczającej go rzeczywistości.

Ze znalezionych kartek.

(Dalszy ciąg).

D. 1-go Lutego.

Janusz jest dobry i miłośnierny.

Wczoraj ciotce zachciało się zwiedzać uroczysko ruiny jakiegoś przez bezbożną rewolucję zburzonego zamku. Będzie miała sposobność roztkliwiać się nad pełnemi wdzięku ofiarami, córami szlachetnych rodów, pomordowanemi przez tych potworów z 93-go roku.

Przytem nie omieszka uczynić jakiegoś mniej lub więcej wyraźnego zwrotu w moją stronę. Podejrzewa mnie, że ani tej nienawiści, ani tego współczucia nie podzielam. No, i tak jest w istocie.

Nie wiem kto ciotce przyniósł wiadomość o tej arystokratycznej relikwii, dość, że pobożnego zapalu niepodobna już było ugasić.

Wandzie również podobała się myśl wycieczki: więc obiedwie te panie, ułożywszy wspólnie program cały, na drugi dzień o świcie, z obawy zbyt późnego zapóźnienia się, postanowiły wyruszyć.

Chodziło o zebranie liczniejszego towarzystwa, a głównie panów. Siedzieliśmy wszyscy przy herbacie, gdy projekt na stół wniesiono.

Do mnie najpierw zwróciła się ciotka.

— Ty duszko, pojedziesz z nami, nieprawda? Ruch, świeże powietrze powinny ci dobrze zrobić. Uważam, że zanadto siedzące prowadzisz życie. A przytem obowiązkiem jest naszym zwiedzać te szczytki starożytnych siedzib.

— Co za myśl! — zaprotestował żywo ojciec — Aniłka nie może pojechać z wami.

— Ależ dlaczego? dlaczego? Pieścisz ją zanadto, mój kuzynie. Wierz mi, to wpływa najgorzej na zdrowie młodych osób.

— Nie pojedę, kochana ciociu — odezwałam się, widząc, że Ojca gniewać zaczyna jej naleganie — nie czuję w sobie dość siły do tej pielgrzymki, i przyznaję, że strach przejmuję mnie na samą myśl, iż potrzeba będzie wstać o godzinie piątej rano.

— A więc pojedziemy same. Guciu, w twoje ręce składamy dowództwo jutrzejszej wyprawy; bądź łaskaw dziś jeszcze porobić potrzebne przygotowania.

— *Pardon Maman.* Nie mogę jutro jechać. Dałam słowo hrabinie C. że im do Cannes towarzyszyć będę.

Ciotka zmarszczyła brwi, niezadowolona z odpowiedzi syna. Po chwili jednak rozpozgodziła się zupełnie.

— Zostańcie sobie zatem — powiedziała, patrząc na mnie i na Gucia z żartobliwą niechęcią.

Ona sądziła, że Gucio dla mnie i przy mnie zostanie. Podejrzewam kuzynka, że hr. C. i Cannes nie ujrzą go również. Inne, ponętniejsze ma on plany. Czytam wyraźnie w jego oczach wyraz „Monte-Carlo.“ Biedna matka będzie miała znów nieprzyjemny orzech do zgryzienia.

Z kolei zaatakowano Janusza. Wymówił się bardzo chłodno.

— Daruje pani hrabina: ja również nie mogę przyjąć udziału w jutrzejszej wycieczce.

Ciotce on imponuje bardzo: nie śmiała więc nalegać. Ojciec przyszedł jej z pomocą.

— Zatem, moje panie, ja wam towarzyszyć będę i, jeżeli nie odrzucicie starego, jestem na wasze usługi.

Przyjęto oświadczenie to z wdzięcznością ze strony Ciotki, ale uważałam, że Wanda straciła już poprzednią ochotę.

Dziś rano, gdy wstałam, powiedziano mi, że ojciec już od paru godzin wyruszył z temi paniami. Przygotowaną byłam na przepędzenie dnia samotnie. Tymczasem czekała mnie niespodzianka. Wyszędzszy, jak zwykle, na werendę zastałam tam Janusza. Uważał widać, że zbyt często sama w domu zostaję.

Przywitał mnie serdecznie, po bratersku. On nigdy żadnego fałszywego ognia w rozmowy ze mną nie kładzie. Szanuję go za to, że kłamać nie chce i nie umie. Powiedział mi, że rola turysty *en titre* jest mu bardzo wstrętą i że dlatego nie miał ochoty towarzyszyć tym paniom.

Rozmawialiśmy z początku dosyć swobodnie. Czułam się zdrowszą, niż zwykle. Ból boku dokuczał mi wprawdzie, ale postanowiłam nie zwracać na to uwagi i nie zatruwać sobie dnia, który się zapowiadał jaśniejsz niż inne.

Nie pozostał takim do końca. Może to ja jestem zbyt wymagająca, może ta choroba tak mnie zmęczyła i rozkaprysiła; ale widać, że ja już w niczem na ziemi nie znajdę radości.

Janusz starał się zabawić mnie, był przez cały dzień uprzejmy, przyjacielski, dobry! ale cóż; ja widziałam, że go to kosztuje wiele, że on przymus zadaje sobie.

O, nie chciałam po raz drugi obdarzoną być tą jałmużną uczucia! Zbyt gorzkim jest chleb żebraczy!

Niech Janusz leci z tym drugim ptakiem w góry; niech się bawia i śmieje! Widać, że oni mają prawo żyć, a ja nie. Ale niech mnie zostawia w spokoju i obowiązków miłosierdzia względem mnie nie pełnia, bo, doprawdy, znienawidzę ich za to całą goryczą, jaka się od dzieciństwa w duszy mej gromadzi.

D. 3-go Lutego.

Dziś lepszy dzień miałam, niż inne. Ojciec wyjechał do Paryża, wezwany depeszą do umierającego przyjaciela; ciotka, cierpiąca na migrenę nie wyrusza ze swej willi, Gucio jeszcze z wycieczki do Cannes, co w moim tłumaczeniu brzmi do „Monte Carlo,“ — nie powrócił: byłam więc sama. Kazałam zamknąć żaluzję, zapalić światło w swoim pokoju i, odprawivszy Wandę, pozamykałam drzwi na klucz. Tak odosobniona od świata usiadłam przy stole założonym książkami. A miałam przy sobie wszystkie dzieła Słowackiego, między niemi i takie, których nie znałam dotychczas. Na prośbę moją dostarczył mi ich Janusz, sam zapewne wpiw nie przeczytawszy.

Duch baśni zestąpił do mojej celi i zaludnił ją wizjami.

O poeto! poeto! Jakąż wielką siłę, jakie wielkie szczęście dano tobie! Tyś w grobie od lat wielu, a każde słowo twoje wstrząsa, burzy, gorączkę wlewa w żyły nawet takiej półmartwej istoty, jak ja.

Czytałam, czytałam, zapominając o świecie całym, o miłości i o chorobie mojej.

Czemż ja nie żyłam w czasach o których on mówi?

Dajcie mi ludzi, co myślą takimi myślami i czują uczuciami takim, a wyrzeknę się dla nich szczęścia i życia. Przekonanie, że tacy być mogą, okupię istnieniem własnym, w Boga napowrót uwierzę. Ale dajcie mi ich! Gdzie oni? Nie widziałam żadnego.

Nieraz już myślałam, że rozpacz moja to nie tylko skutek choroby i zwątpienia. Niedola moja pochodzi ztąd, że ja nie jestem dzieckiem mego czasu.

Duch mój rwie się, jak niewolnik do łańcucha przykuty, rwie do wielkich uczuć i do wielkich czynów, a tylko nędzę i mierność wkoło siebie znajduje.

Ach, wypuście mnie raz z tej klatki!

Rzuciłam Słowackiego i biegałam po pokoju, upojona szalem poezji, póki kaszel i ból piersi nie przywołały mnie do rzeczywistości.

Gorączka mnie porwała, krwawe plamy mam na twarzy; ja wiem, że w ten sposób lampa mego życia podwójną ilość oliwy pochłania, ale dzisiaj ja przynajmniej czuję, że żyję.

Boże! Boże! gdyby nie ta choroba, jabym jednak nie wegetowała tak marnie, jak ci, których widzę wkoło siebie!

Ale cóż! Mnie nie dano nawet nic dobrego zrobić na ziemi — jam nędzna, bezsilna. Choroba ubezwładniła ducha. Potrzeba mu takiej podniety, jak dzisiejsza, żeby się zapalił i dobrego zapragnął. A i to minie. Pozostanie obojętność, niewiara i żal za szczęściem. Juliuszu, w niedobre ręce się dostałeś. Brylantowa tęcza słów twoich nie przerobi w anioła mnie, ani mnie podobnych. Ach, jaka ja nieszczęśliwa!

(Da'szy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE

d. 31 Stycznia 189 r.

Wielka zima. — Ogólny stan cierpienia — Nędza i troski zaradcze. — Gdzie jest węzeł kwestyi pauperyzmu? — Bogactwo kraju i ubóstwo pewnych warstw jego ludności. — Ostatnia pożyczka 900 milionów, pokryta szesnastą raz v. — Ilość i wartość złożonej przedpłaty. — Czego dowodzi to bogactwo? — Ciężkie straty. — Oktawian Feuillet i Baron Hausman; wspomnienia pośmiertne. — Nowiny teatralne: *L'obstacle* (Przeszkoda) dramat Alf. Daudet'a — *Thermidor* dramat Wiktoryna Sardou. — Zawierucha z powodu przedstawienia tej sztuki w Teatrze Francuzkim. — Rząd zabrania dalszych przedstawień. — Sprawa w izbie poselskiej. — Sprawa kryminalna Władimirowa, przed sądem przysięgłych. — Wyrok.

Zima! straszna zima! nie taka zapewne jak u was — ale straszna, bo bierze w swe żelazne kleszcze nieprzygotowanych, nieusposobionych, bezbronnych... nie mówię biednych charłaków, ale ludzi, którym nie braknie, ani ognia, ani ja-dła, ani odzieży a którzy tu żyją, na rachunek tak zwanego łagodnego klimatu.

Straszna zima! — a przyszła cichaczem, niewinnie, z pierwszym podmuchem boreasza; aż oto powoli, powoli mroźny zastęp, zabiera w swą władzę, powietrze, ziemię, niebo i wody.

Zdaje się, żeśmy przecie skończyli z tą straszliwą wiedźmą!... Słońce już dość wysoko, i wiatr z południa ożywia i rozpieszcza wszelkie stworzenie... Ale, jakkolwiekby, cały ten sezon mroźny był okrutnie twardym do zgryzienia, najtwardszym, bez zaprzeczenia, jaki musieli przemieścić, od lat jedenastu ludziska, dla których ogień jest za drogim zbytkiem.

Z pewnością od zimy 1879 roku Paryż miał może, równie dotkliwie, przenikające zimno — ale nie doznał, równie trwałej i statecznej zimy... Wszakże to dwa miesiące prawie, bez wytchnienia, bez miłosierdzia, spirytus w kolumnie termometrycznej, jak gdyby stracił całą swą elastyczność wznoszenia się w górę, nie zdołał wzbic się nad zero, a zdarzało się często, niestety, że spadał do 12°, a nawet do 15°, co w tym błogosławionym kraju jest prawie niesłychaną rzeczą!..

Jak w bajkach, opowiadano, tu i owdzie, ukazanie się wilków. Sekwana spławiała krę gęstą, ba, nawet w części zamarzała, i trzeba było bronić, *militari etiam manu*, płochym Paryżanom przystępu do zamarzej, domowej ich rzeki!..

Ale kiedy my tak się skarżymy w Paryżu, z południa dochodzą nas straszliwsze echa o zimie w Prowancyi, w krainie *wo die Zitronen blüht*. Śnieg, rzadkość nad rzadkością, grubą przeszło na pół metra ławą pokrywa tam ziemię. Ludzie marzną w Algeryi; komunikacja przerwana; drogi żelazne w odpoczynku.

I tak się dzieje w całej zachodniej Europie. W Niemczech, w Hiszpanii, w uprzywilejowanym kraju słońca, zima panuje wszechwładnie, i daje się we znaki tym dzieciom słońca. Słowem: straszna zima!

Chcąc zrozumieć, jak wielką plagą jest ta straszna zima dla tutejszych ludzi, dosyć jest spojrzeć wokoło siebie. W miarę, jak zimno się utrzymuje, nędza i cierpienie się wzmagają, w tej klasie

ludności, która tu żyje z dnia na dzień, bez żadnej troski o jutro — a której zbywa absolutnie na wszystkim, zaczawszy od strawy, odzienia i mieszkania, tak opatrzonego przynajmniej, aby się w niem obronić można nawet od najmniejszej zmiany powietrza.

Widzimy, że ogromne i olbrzymie szpitale, przeładowane chorymi, zmuszone są zamykać drzwi przed napływem całemi pułkami ciągnących klientów. Przytulki nocne nie wystarczają już na pomieszczenie tej masy cierpiących biedaków, którzy uciekają przed mrozem i śniegiem. Jestto jakby druga przeprawa przez Berezynę. Bieda przybiera wszystkie oznaki katastrofy publicznej, a domyśleć się łatwo, co się dzieje pod dachem i za murami tej biedy i nędzy, która umiera, nie ośmielając się wyciągnąć ręki o pomoc. — Tam dopiero, jeśli są dzieci i chorzy, odgrywiają się takie dramata, o jakich się naszym dramaturgom ani śniło.

A co najlepiej charakteryzuje ten stan w całej jego grozie — to objaw apaty i niezdarność, kiedy chodzi o podanie pomocy potrzebującym. Przy tak podniesionej skali nędzy dopiero po dwóch miesiącach skwierku zbudzili się ze snu ci, co najmniej ucierpieli dotąd, zawdzięczając to losowi, który ich postawił nazewnątrz straszliwego zęba okrutnej zimy.

To też widzimy od połowy Stycznia, jak się wszystko ruszyło z pomocą. Teraz, kiedy już i słońce zmiłować się raczyło nad nami, ze wszystkich stron śpieszą na pomoc okrutnemu nieszczęściu. I oto wspólnymi siłami: Rząd, Rada miejska, prassa i ludzie prywatni łączą się, jakby w jedno ciało, aby ochronić i ratować te ogromne zastępy nieszczęścia i cierpienia, podczas straszliwych nocy, których codzienne ofiary padają, jak kłosa pod kosą.

Rząd postanowił zażądać od Sejmu nagłej pomocy w kwocie dwóch milionów. Izby uchwały ją *stante pede*. Te dwa miliony, z pomocą samej ludności zamożnej, możeby były dostateczne dla samego Paryża; ale Paryż — to część tylko, tego obrazu zgrozy: poza nim jest cała Francya, a na prowincyi nędza ma jeszcze straszniejsze, niż w stolicy rozmiary. Tam często nietylko lekarza, lekarstwa — ale i kawałka suchego chleba braknie. Rząd więc zażądał nowych czterech milionów i te odrazu dano, bez żadnego namysłu. Ale, *homines sumus!* Jak ten zasilek, ogromny prawda — ale który przychodzi może trochę zapóźno!.. *rozdany zostanie i komu?* a przechodząc przez tyle rąk urzędowych, zanim wpadnie do dziurawej kieszeni biedaka, umierającego z głodu i zimna, w jakiej kwocie dostanie się do swego przeznaczenia?

Jeden mały przykład: Rząd miał zamiar w pierwszej chwili co do Paryża — upoważnić na rachunek dwu milionów zakłady pożyczki ludowej, *Monts de Piété*, do wydania bezpłatnego odzieży, materacy, kołder i derek, ale wskutek przeprowadzonego śledztwa okazało się, że potrzebujący tej zapomogi, nie skorzystają z niej bynajmniej, bo trzy czwarte kwitów zastawy sprzedane zostały za bezcen, natychmiast po zastawieniu rzeczy — i znajdują się w rękach spekulantów.

Rada miejska ze swej strony przedsięwzięła środki ochronne. Pałace pozostałe po ostatniej wystawie na Polu Marsowem otworzyć kazała jako przytuliska — dla zziębniętego i zgłodniałego biedactwa, i w tych przytuliskach zarządziła wydawanie bezpłatnie jada i okrycia dla przepędzenia kilku godzin nocy. Podobne ochrony otwarto w każdym z okręgów. Nakoniec prassa wezwała pomocy swych czytelników, a ci odpowiedzieli, przynosząc po sto tysięcy franków dziennie dobrowolnej składki.

Wszystko to daje do myślenia, że nawoływanie i skargi, które się zewsząd podnoszą, mają wielką i gruntowną zasadę. Nędza i cierpienia, na jakie są wystawione pewne klasy społeczne, za najłżejszym pochyleniem się zwyczajnej szali życia, nie mogą być normalnemi i nieuniknionemi, skoro w kraju tak zamożnym i bogatym, jakim jest Francya, przychodzi aż do takich ostateczności. Cóż dopiero musi się dziać tam, gdzie brak środków materialnych odbiera wszel-

ką moc działania, najlepiej usposobionym i miłośnym!

Ażeby o zasobach i bogactwie tego-tu kraju czytelnicy moi mogli mieć wyobrażenie, dosyć jest wspomnieć o ostatniej pożyczce skarbowej w kwocie dziesięciuset milionów, prawie miliard! — franków.

Izby upoważniły ministra skarbu do zaciągnięcia pożyczki w wyżej wskazaanej wysokości; zapisy na pożyczkę miały się odbyć w biurach rządowych i w przeciągu jednego dnia. Minister żądał dziesięciuset kilkudziesięciu milionów — a 10 stycznia, w dzień otwarcia kas rządowych, publiczność złożyła zapisów przeszło na czternaście miliardów — sama przedpłata, po 15 fr. od obligacji (tytułu renty), złożenie w gotówce w tym dniu, wyniosła ogromną sumę dwóch miliardów 340 milionów franków — obrachowano też, że ta summa ważyła w złocie: 755.000 kilogramów, a w srebrze: 11.700.000 kilogramów.

Tu należy przypomnieć sławną pożyczkę okupu w 1872 r. Skarb zażądał wówczas 3 miliardów franków; kraj i Europa złożyły 43 miliardy. Był to ruch kapitałów niesłychany: nie powtórzy się on już może więcej...

A tymczasem takie bogactwo kraju nie może go zabezpieczyć, w jego najmniej uposażonych klasach ludności, od tych wstrząśnień i wahaniasię, niedostatecznie zabezpieczonej przyszłości, jak więc jest środek, zapobieżenia złemu?

Dotykamy tu zlekka, ostrożnie najważniejszej kwestyi społecznej. Nie tu miejsce szukać jej rozwiązania, chociaż, nigdzie może, prócz Anglii, nie występuje ona w życiu tak jaskrawo i dobitnie, bo nigdzie, jak w tych dwóch krajach, niema takiej sprzeczności pomiędzy bogactwem powszechnem, a nędzą pewnych klas tej powszechności. Odwołanie się do czynności publicznej nigdy tu nie zostaje bez skutku, i to na olbrzymią skalę, ale kiedy ten środek jest niedostateczny, potrzeba przyjść do ostateczności — i jakkolwiek może to być wstrętne — trzeba do głębi sondować tę ranę.

Ta ciężka i tak długa zima stała się powodem wielu strąt nieodżałowanych. Choroby zapalne były piorunujące, i długi jest szereg tych ofiar wśród ludzi znakomitych talentem, wpływem lub rozgłosem.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na wystawę lnu, mającą się otworzyć w Smoleńsku d. 21 Lutego, zapisała się znaczna liczba wystawczyń.

— Warszawska Rada Miejska zatwierdziła na rok bieżący etat dla Instytutu św. Kazimierza na Tamce. Mieści się tam trzydzieści Sióstr Miłosierdzia czynnych, trzydzieści sióstr emerytek. Pod ich opieką wychowuje się 100 dziewcząt sierot. Dochody wykazane są na 19.330 rs., wydatki na 22.300 rs.

— Wskutek postanowienia Warszawskiego Tow. Dobroczynności objęły zarząd: p. Anna Witkowska nad Ochroną XXII, p. Helena Sroczyńska nad ochroną XXVI. Opiekunką ochrony V została p. Aniela Siedlewska.

— Hr. Zdzisławowa Zamojska zobowiązała się wносить corocznie przez lat pięć, do kasy Warszaw. Towarzystwa Dobroczynności 200 rs. na utrzymanie dwóch chłopców sierot z przedmieść świeżo przyłączonych do Warszawy: jednego z Nowej Pragi, jednego ze Szmulowizny.

— Według sprawozdania zarządu szpitala dla dzieci, mieści się w tym zarządzie pań dwie: Hr. Augustowa Potocka i p. Natalia Wysiekińska. Do składu opieki wewnętrznej i gospodarstwa należy dziewięć Sióstr Miłosierdzia i czternaście posługaczek. W liczbie stałych dobrodziejów

szpitala znajduje się pań dziesięć: Blochowa Emilia, Bogh Julia, Górka Paulina, Kozłowska Zofia, Krasińska Marta, Kronenbergowa Róża, Kronenbergowa Małgorzata, Marczevska Konstancja, hr. Potocka Augustowa (utrzymująca ośm łóżek) Potocka Marya, Raczyńska Róża. Jednocześnie ofiary złożyły: Lesser Emilia rs. 500, Wysiekińska Natalia zebrała od osób dobroczynnych 7 rs. Józefowiczowa Marya rs. 10, Hordliczkowa Laura rs. 10.

— Hr. Cecylia Platerówna, której zakład robót kobiecych przy ul. Pięknej rozwija tak rozumnie i szlachetnie pomyslaną działalność, że na ostatniej wystawie pracy kobiecej przyznano mu złoty medal, rozszerza dobroczynną swą czynność w najpożądniejszym kierunku. Zaczyna ta filantropka nabyła za własne pieniądze — 30.000 rs., folwark Chyliczki, rozległości włók cztery, położony pod Piasecznem, dla urządzenia tam zakładu kształcącego w kierunku gospodarstwa domowego i praktycznych jego zajęć dziewczęta wiejskie. Budżet zakładu jest na osób 30; obok uczennic płatnych mieścić się tam będą i bezpłatne. Zakład robót przy ulicy Pięknej liczy obecnie kształcących się tam pensyonarek 70, i blisko 100 przychodnich.

— Bogata a bezdzietna pani, zamieszkująca stale Wiedeń, hr. Helena Mierowa, ofiarowała dwa miliony zł. rei. na wzniesienie we Lwowie domu opieki dla podzatków. Dar ten nie jest przecież faktem już stwierdzonym przez akt sporządzony prawnie. Hr. Mierowa za życia męża mieszkała we Lwowie.

— Hr. Urszula z Łosiów Golejewska, zmarła we Lwowie d. 21 stycznia, przekazała aktem ostatniej swej woli, cały ruchomy i nieruchomy majątek na utrzymanie chorych nieuleczalnych. Klasztorowi Sióstr Miłosierdzia w Rozdole, gdzie utrzymywała stale od dawnego czasu dziesięć łóżek dla chorych nieuleczalnych, zapisała na tenże cel, dobra posiadane w powiecie żydaczowskim; kapitały i dobra w powiecie Sanockim zapisała klasztorowi Sióstr Miłosierdzia we Lwowie, z takim samym celem. Pani ta odznaczała się już za życia szlachetną dobroczynnością w najlepszym kierunku: obok zakładania i utrzymywania w dobrach swoich ochronek, szkółek i szpitali, dbała o moralne strony życia ludu wiejskiego, o jego dobrobyt ducha i ciała. We wszystkich jej posiadłościach znajdują się obok chat wiejskich sady owocowe, zakładane przez ogrodników z jej ramienia, a to z celem nietylko wzmoczenia dostatku, ale i pewnej cywilizacji, przez upiększenie tym sposobem chat włościańskich.

— W Kołomyi zawiązało się Stowarzyszenie pracy kobiet.

— Dwie panie francuzkie, oddające się pracom wychowania: M-me Kergomard, inspektorka generalna ochron we Francji, i M-me Julia Tousseint, otrzymały godność vice-prezydentek świeżo założonego w Paryżu stowarzyszenia opieki nad moralnie zaniedbanymi dziećmi: „Union française pour le sauvetage de l'enfance“. Prezydentem jest tu Juliusz Simon. W liczbie członków rady administracyjnej znajdują się panie: Dumont, Francillon, Gréard, Nelly Lieutier.

— Czasopismo francuzkie „Monde Industriel“, podaje znaczną liczbę wynalazków praktycznych, które Anglia i Ameryka zawdzięczają kobietom, zyskującym nieraz tym sposobem wielkie majątki. Angielka wynalazła maszynę do oczyszczania włókna bawełnianego, co przedstawiało bardzo mozolną i kosztowną pracę ręczną, a czego dokonywa obecnie szybko i doskonale maszyna. Amerykanka podała myśl wyrabiania worków z masy papierowej.

— Londyńskie czasopismo „Daily News“ donosi iż rada miejska Londynu postanowiła wytworzyć nowy urząd, który zostaje powierzony kobiecie, wykształconej w ogrodowiznie, dozór nad plantacyami po skwerach i publicznych miejscach Londynu.

— Pierwsza kobieta, której uniwersytet londyński przyznał godność naukową doktora medycyny — Marya Scharlieb, zaznacza się szczególnie pracowitą i szlachetnie wykonywaną działalnością, w zakresie pracy lekarskiej. Trzeba jej było na wstępie zwalczać niechętnie kobiecie

uprzedzenia, że siły jej nie podołają podjętemu zadaniu; przecież siedmnaście lat użytecznej i szczęśliwym powodzeniem uwieńczonej pracy w Anglii i Indjach, odniosło ten pożądany skutek, że fakultet medyczny londyńskiego uniwersytetu przyznał jej wszystkie możliwe godności, jakimi rozporządza. Wyszędzszy za mąż w 1865 roku za urzędnika, przeniesionego wkrótce do Indyi i poznawszy zblizka wszystkie nędze i cierpienia kobiet indyjskich, którym przesąd religijny nie dozwalał przyzywać w czasie choroby lekarza mężczyzny, powzięła ona pierwszą myśl poświęcenia się studjom medycznym, które zrazu, to jest w 1871, rozpoczęła na własną rękę, przez czytanie poradników popularnych w tym zakresie, aż wkrótce zapisała się jako uczennica regularna do szkoły chorób kobiecych w Madras, gdzie piętnaście miesięcy pracowała, gorliwie przykładając się do nauki, a potem przebyła praktykę wymaganą jako pomocnica lekarska w domu zdrowia dla kobiet. Rzecz stała się głośną i rząd anglo-indyjski powziął myśl założenia medycznej szkoły dla kobiet, co nastąpiło w 1875 r. Do tej szkoły zapisała się ona jako pierwsza studentka. Kształciła się tu lat parę, uczęszczając pilnie na wykłady, aż w 1878 r. udała się do Londynu i tu, dla pozyskania prawa do egzaminu państwowego, studowała pilnie, aż złożyła go w 1882 r. ze złotym medalem na stopień doktora medycyny i chirurgii, oraz pozyskała stypendjum dla kształcenia się praktycznego w gałęzi chorób kobiecych i medycyny sądowej. W 1884 r. pojechała do Wiednia, aby wydoskonalić się w leczeniu chorób oczu i uszu i w Październiku tegoż roku, udała się z powrotem do Indyi, do Madras.

Przed wyjazdem z Anglii spotkał ją zaszczyt, iż ks. książę Walii zapragnęli ją poznać i obok pochlebnych oznak uznania ze strony obojga, otrzymała od księżnej Walii kosztowną gwiazdę brylantową, z pochlebnymi wyrazami zaufania, że Anglia nie posiada takiego, jak Francja, krzyża Legii Honorowej, któryby pierś jej ozdobił. Wróciwszy do Indyi, oddała się w Madras praktyce lekarskiej w zakresie chorób kobiecych i dzieciennych i otoczona czcią, uznaniem ogólnem, oraz ogromnym szacunkiem i miłością kobiet, otrzymała od rządu wezwanie do przyjęcia urzędu docenta w szkole tamtejszej chorób kobiecych, w której rząd angielski usiłuje kształcić Indyan, aby zastępować mogły brak lekarzy mężczyzny, którym w Indjach przesąd nie pozwala leczyć kobiety nawet jako przyzwanym na konsylium. Do dobrych dzieł w historii życia tej pani zaliczyć trzeba, że łamiąc się z mnóstwem przeszkód, doprowadziła do skutku oddawna powzięty zamiar, aby powstał w Madras szpital dla kobiet indyjskich i gdzie ona została lekarzem naczelnym, mając pod sobą lekarki krajowe, wykształcone odpowiednio w szkole medycznej dla kobiet. Została też tu examinatorką, ale praca, połączona z trudnościami torowania tych dróg nowych, i klimat indyjski, nieprzychylny dla Europejczyków, zwłaszcza kobiet, podkopały jej zdrowie i musiała wrócić do Anglii. Osiedlona w Londynie pozyskała tam wkrótce wielką praktykę, oprócz tego jest ona docentką, wykładającą w londyńskiej Lekarskiej Szkole dla kobiet, oraz najstarszym doktorem w szpitalu kobiecym na Marylebone-Road. W początkach bieżącego roku uniwersytet londyński przyznał jej stopień doktora medycyny.

— W Szwecyi było z końcem ubiegłego roku w służbie rządowych telegrafów 295 kobiet, na 252 urzędników mężczyzn.

— Królowa Małgorzata włoska opatrzyła własnym kosztem wszystkie ludowe i zawodowe szkoły w Rzymie, w narzędzia i przyrządy kuchenne, potrzebne do nauki gotowania. Stało się to z powodu, że, zwiedzając jedną z takich szkół w Rzymie, zauważyła, iż nauka gospodarstwa domowego nie jest zamieszczona na planie, a przedłożona odpowiednia na czynione jej pod tym względem pytanie, że brak funduszu na potrzebne tu przybory, staje temu na przeszkodzie. Królowa nietylko przysłała zaraz tego dnia szkole wszystkie potrzebne tu przedmioty i narzędzia, ale zwróciła się do ministra oświecenia z żądaniem, aby fundusz odpowiedni został z kas państwa na ten cel wyasygnowany.

— Francuzkie siostry miłosierdzia, zagrożone w bycie swoim w ojczyźnie przez rozporządzenie rządu Rzeczypospolitej, co do zgromadzeń religijnych, zwróciły się do królowej Małgorzaty z zapytaniem: czy przyjęte zostaną? i proszą o opiekę jej nad sobą. Gdyby im tu odmówiono zostało, gdzie się podzieją?

— Paulina Lucca postanowiła usunąć się ze sceny, jakkolwiek ma dopiero lat czterdzieści kilka i odnosi dotąd tryumfy, świadczące, że powodzenie jej mniejszem nie jest, niż poprzednio. Pytającym jej o przyczynę tego zamiaru odpowiedziała, że nakoniec chce użyć tego szczęścia w rodzinie, jakiego nic nie zastąpi—ani chwała, ani największy majątek—Są to wszystko dodatki, gdy ognisko domowe jest konieczną potrzebą, dla kobiety z sercem—dodała, zaręczając, że potrafi być dobrą gospodynią.

— Norweską stowarzyszenie kobiece: „Kobiece Liga Obrony“, utworzona rok temu, za przykładem Szwecji i Danii rozszerzyła się na cały kraj przez filie prowincjonalne, i obecnie fundusz stowarzyszenia wynosi 500,000 koron. Czuwanie nad dziećmi moralnie zaniedbanymi, pewien rygor wychowawczy, wywierany przez Ligę na matki wychowujące dzieci swoje nie dbałe, w zapomnieniu o uczuciach obywatelskich, stoi tu na pierwszym miejscu. W pierwszym tygodniu po Nowym Roku walne zgromadzenie Ligi w Chrystyanii orzekło, że jednym z ważniejszych obowiązków stowarzyszenia jest wychowywanie dzieci w prostocie obyczajów, nie dopuszczającej nawyknień zbytkownych, które, rozmiękczać, osłabiają moralnie i materialnie. Odbiera to następnie siłę męznego hartu obywatelowi kraju, pogrąża go w samolubnej pieczy o własną osobę i czyni niezdolnym do należytego wypełnienia obowiązków, jakie człowiek, rodząc się, przyjmuje względem tego kawałka ziemi, który go żywi. Wychowanie nad stan posiadanych środków materialnych, pociąga za sobą te jeszcze szkodliwe wpływy, przeciw którym Liga walczyć postanawia, że istota młoda uczy się uważać majątek za rzecz ceny bardzo wielkiej, zatem inny, wyższy ideał: dobrej sławy obywatelskiej, zaszczytu z czynów szlachetnych, maleje już mu przed oczyma. Opinia kraju tak jest przychylną „Kobiecej Lidze Obrony“, że nie należeć do niej jest niemal wstydem, który rumieni czoło kobiet dbałych o dobre imię.

Z bieżącej chwili.

— Doroczna wystawa Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu zostanie otwartą d. 2 Marca. Wystawa Ajwazowskiego, otwarta w połowie zeszłego miesiąca trwa dotąd, zwiedzana licznie.

— Dzienniki petersburskie podają rozpowszechnioną pogłoskę, że ma się tam wkrótce zawiązać kilka nowych towarzystw ubezpieczeń.

— Uczciwy człowiek, pożyteczny członek społeczeństwa naszego, Wincenty Korotyński, um. d. 7 b. m. śmiercią nagłą na posterunku pracy, której z przejęciem, z zamiłowaniem poświęcił całe życie—z piórem w ręku, w redakcji „Gazety Warszawskiej, której był stałym współpracownikiem. Urodzony w 1831 r. w Mińszczyźnie, był związany węzłem serdecznej przyjaźni z Syrokomlą (Kondratowiczem), który dopomagał mu w pracy kształcenia się o własnych siłach, a wyższe zdolności umysłu, połączone z wielką wytrwa-

łością i zamiłowaniem książki nauki, pozwoliły mu osiągnąć tu rezultaty niepospolite: dużą wiedzę, szczególnie w zakresie rzeczy swoich, języka, dziejów, literatury, co wszystko studiował z zamiłowaniem gorącym. Pisać zaczął młodo, a że młodość, szczególnie w szlachetnej istocie ludzkiej, jest zawsze poezji pełną, pierwsze jego twórczenie było pisane rymami, do czego zapewne przyczyniał się stosunek z Syrokomlą. Drukował najpierw w Wilnie zbiorek poczyi pod tytułem: „Czem chata bogata“, następnie poemat na tle stosunków wiejskich: „Tomilo“, „Kwestarz starozakonny“. Współ z Syrokomlą tłómaczył piosenki Berangera, pracując obok tego w „Kurjerze Wileńskim“, w „Tece Wileńskiej“, wydawanych przez Kirkora, a zawsze ze szczerem przejęciem, z wielkiem uszanowaniem literackiego zawodu—pióra.

W roku 1866 przeniósł się do Warszawy, wszedł do składu redakcji „Gazety Warszawskiej; przeciw piywał obok tego do „Biblioteki Warszawskiej“ i niegdyś do „Wieńca“, następnie do „Kłosów“, do „Tygodnika Ilustrowanego“, „Kroniki Ródziny“. Ze przeciw nie robił z tego obitek, zostały po nim tylko oddzielnie zbroszurowane prace: *Dodatek do biografii Mickiewicza*, oddruk z „Biblioteki Warszawskiej“ i *Duchowieństwo* z „Gazety Warszawskiej. Człowiek był wskroś prawy, uczuć szlachetnych, umarł wcześniej, zostawiając żonę i dzieci młode, matkę sędziwą. Zostało po nim między ludźmi wspomnienie dobre uczciwego człowieka, który się dźwignął o własnej sile do światła, do wiedzy, i służył zawsze uczciwie współbraciom swoim i ideom wyznawanym.

— „Tygodnik Ilustrowany“ zamieścił w ostatnim numerze miniaturowy portret zmarłej hr. Golejewskiej, zacnej filantropki, o której pismo nasze wspomina obszerniej w numerze bieżącym.

— Konkurs rysowniczy „Tyg. Ilustrowanego“ zgromadził 52 rysunków. Sąd konkursowy jeszcze nie wydał wyroku swego.

— Redaktor „Ogrodnika Polskiego“, p. Edmund Jankowski otrzymał z Paryża od Akademii Rolnictwa Przemysłu i Handlu zaproszenie na członka.

— Szkoła Ogrodnicza w Częstochowie D-ra Zawady będzie niezawodnie otwarta w Kwietniu. Mimo opóźnienia, kurs pierwszy zostanie z pewnością ukończony w ciągu wiosny i lata. Uczniów zapisało się koło stu, od lat 14 do 32, z rozmaitemi kwalifikacjami naukowemi, od dwu klasowej szkoły rzemieślniczej, do ukończonych z patentem nauk gymnastycznych.

— W Muzeum Etnograficznem w Bagateli obok zbiorów z Afryki Zachod. przywiezionych przez Janikowskiego, zostaną umieszczone okazy z Ameryki Południowej, przywiezione przez podróżnika Nestorowicza.

— Prof. Grabowski Bronisław napisał i wydał fantastyczny dramat z podań ludowych: „Boruta“. Jestto legendowy dyabeł, zasadzony w ruinach łączycyckiego zamku — dyabeł szlachcic, kuszący panów braci do napitki i wybitki — hulatyki, z której słyęła niegdyś szlachta łączycycka i dla tego to wyobraźnia ludowa stworzyła Borutę. Autor ofiarował swój utwór poecie czeskiemu, Juliuszowi Zeyrowi, którego nazywa w dedykacji wielkim i szlachetnym poetą.

— Poeta czeski Jaroslav Vrchlicki napisał czteroaktową komedię „Midasowi uszi“.

— Zaczęło już, uprzedzając wystawę, wychodzić w Pradze pismo „Casopis vystavni“ wydawcą jest budowniczy Kouli, koszta zaś ponosi towarzystwo czeskich architektów. Trwanie wystawy oznaczone jest do 15-go Paździer-

nika, zatem obejmie ono pięć miesięcy czasu. Niemcy odmówili wzięcia tu udziału, co zapewne nie zmartwiło Czechów, lecz przeciwnie są oni zapewne zadowoleni z tego. Katalogi będą w trzech językach: czeskim, francuzkim i niemieckim.

— W Krakowie rozeszła się wieść wielce niemiła, nietylko dla większości jego mieszkańców, mianowicie, że dyrektor tamtejszego zarządu budownictwa, Niedziałkowski, tak został zjednany dla projektu postawienia pomnika Mickiewicza przy końcu ulicy Sławkowskiej, z widokiem na targowisko kleparckie, iż podjął się być skutecznym rzecznikiem tego zamiaru wobec Rady Miejskiej, która ma rozstrzygnąć tę sprawę przed końcem bieżącego miesiąca.

— Z pierwszym dniem Marca zacznie wychodzić w Krakowie miesięcznik, poświęcony literaturze, sztukom pięknym, sztuce dramatycznej. Komitet redakcyjny tworzą p. p. Bornsztajn, Dobrowolski, Ehrenberg, Hösieck, Tetmayer. Jako redaktor podpisują się będzie Bornsztajn.

— Dyplomy nagród oraz medale przyznane Galicyi na Paryzkiej międzynarodowej wystawie 1889 r. zostały tam nadesłane. Dyplomy są barczne; przedstawiają w winietach wóz tryumfalny, ciągniony przez ludy wszystkich pięciu części świata, z Europą na czele, odradzającą się przez opanowanie ślepych sił natury, a przedstawioną przez szlachetnie pięknych młodzieńców, kierujących lwami. Na wozie allegoryczna postać postępu.

Dyplom na medal złoty, wraz z samym medalem otrzymał tylko galicyjski bank kredytowy za wystawę kopalni ziemnego wosku w Borysławiu. Srebrnych medali udzieleno cztery: Dystylarni ziemnego wosku w Drohobyczu Godtenberg, dystylarni w Libuszy Ad. Skryńskiego, dystylarni w Pieczeniżynie St. Szczepanowskiego, oraz dyrektorowi kopalni Surzyckiego.

— Powszechna wystawa czeska w Pradze będzie stanowczo otwartą w parku Stromówka d. 15 Maja dla uświetnienia stułetniej rocznicy pierwszej czeskiej wystawy w 1791 r. Jakkolwiek z powodu zeszłorocznego wylewu Wełtawy grunt przesiąkły wilgocią przedstawiał wielkie trudności przy wznoszeniu budynków wystawowych, tych zwłaszcza, którym chciano dać trwałość nieograniczającą się na przeciąg czasu właściwej wystawy, jednak zdołano to pokonać i według zamierzonego planu wystawa obejmie na przestrzeni 360.000 metrów kwadratowych trzydzieści sześć grup, których okazy znajdą pomieszczenie w stu budynkach i pawilonach, przedstawiając cały obraz narodowego Czechów gospodarstwa we wszystkich kierunkach pracy: w rolnictwie, przemyśle, sztuce, nauce — we wszystkim, co naród czeski nazywa produkcją swoją. Preliminarz wydatków wykazuje ogromną cyfrę 1282.700 zł. reń., jest też to przecie wystawa stułetnia, z okresu czasu od 1791 r. do 1891. Da ona przytem zwiedzającej ją publiczności wszelkie możliwe dogodności, poczynając od kolumniacy tramwajami, kolei konnej i elektrycznej, do oświetlenia elektrycznego. Zabudowania wszystkie w stylu staroczeskim, niektóre w stylu staroczeskiego odrodzenia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 14 ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka. — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Na wodach morza Śródziemnego. — Ze znalezionych kartek (dalszy ciąg). — Nowiny Paryzkie. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 14-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 21 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.